



tekst
KS. SŁAWOMIR CZALEJ

redaktor wydania

To, co mnie zawsze uderza, gdy jestem w Wielkiej Brytanii czy w innych krajach europejskich, to pieczołowicie przechowywane pamiątki rodzinne. Jest ich całkiem sporo. W niejednym angielskim domu byłem raczony opowieściami o rodzicach czy dziadkach. Pamiętam historię o bitwie o Anglię czy opowieści starszej pani, mojej wakacyjnej parafianki, której ojciec był mistrzem Anglii w boksie. Do tego masa starych fotografii, wycinki z przedwojennych gazet. Nic nie zaginęło! Ostatnio udało mi się też odwiedzić, przy okazji wizyt kolędowych, kilka domów w Gdańsku-Oliwie. Bardzo często spotykałem ludzi, którzy urodzili się za wschodnią granicą Polski, w okolicach Wilna czy na terenie dzisiejszej Białorusi. Z ich domów nie została często cegła na cegle, czy raczej belka na belce. Jedynym nośnikiem wspomnień jest ich pamięć i nieliczne, zabrane w pośpiechu do bydłowego wagonu, przedmioty. Święty obraz, bursztynowy różaniec, czasem jakaś fotografia... Ciągłe powtarzam sobie i innym, że to ostatnia chwila, żeby tę historię spisać, a sam głos nagrać... (s. IV-V). Warto pamiętać, że na naszych oczach rodzą się kolejne historie. W tym tygodniu poznamy nowsze dzieje związane z parafią w Chłapowie (s. VIII).

Dzień Chorego po raz pierwszy w oliwskiej katedrze

Prosimy o siłę na każdy dzień



– Choroba wiąże się ze słabością i wtedy każdy dzień wydaje się trudny. **Gdyby nie modlitwa, byłabym zupełnie bezradna** – mówi 85-letnia Wiktoria Wołyńska, obecna na gdańskiej uroczystości.

Podczas Mszy św. arcybiskup udzielił sakramentu namaszczenia chorych licznie zgromadzonych w bazylice oliwskiej

Dwie dekady temu – w rocznicę objawienia Matki Bożej w Lourdes, czyli 11 lutego – papież Jan Paweł II ustanowił Światowy Dzień Chorego. Archidiecezjalne obchody organizowane są każdego roku w innym kościele poświęconym Maryi. Po raz pierwszy odbyły się w bazylice archikatedralnej w Gdańsku-Oliwie. Świątynia jest już ogrzewana, więc mimo lutowych mrozów z pewnością nikt nie przemarzł.

– Drodzy chorzy, to wy jesteście skarbem Kościoła, gdy ofiarujecie za niego modlitwę i swoje cierpienie – mówił w homilii ks. abp Sławoj Leszek Głódź, metropolita gdański. – Społeczeństwo, które wyraziło

zgodę na prawo do eutanazji, czyli likwidacji ludzi chorych i niepotrzebnych, jest społeczeństwem okrutnym – dodał.

Na uroczystości licznie zebrali się chorzy i niepełnosprawni wraz z rodzinami oraz lekarze, pielęgniarki, rehabilitanci, aptekarze, wolontariusze, pracownicy ośrodków medycznych i wszyscy, którzy mają kontakt z osobami chorymi. Nie zabrakło też przedstawicieli władz samorządowych. Zdrowi i chorzy zanieśli do ołtarza dary: rzeźbę splecionych dłoni z Pracowni Plastycznej Centrum im. św. Faustyny, obraz Maryi, a nawet... „Biovital”, preparat wzmacniający serce.

– Każdego dnia mam kontakt z osobami chorymi i niepełnosprawnymi. Gdy człowiek stara się być blisko Boga, czuje też potrzebę, by być blisko człowieka i każdego dnia mu służyć – powiedziała pani Ewa, pielęgniarka z Centrum Pomocowego Caritas im. Ojca Pio w Gdyni.

Podczas Mszy św. arcybiskup udzielił sakramentu namaszczenia chorych: niepełnosprawnym fizycznie i umysłowo, chorym dorosłym i dzieciom, starym i młodym.

– Jestem tutaj z synem Andrzejem. Syn od wypadku samochodowego jeździ na wózku. Modlimy się o jego uzdrowienie, ale także o siłę na każdy dzień. Zjednoczenie się z chorymi daje nam więcej siły – wyznała Anna Bieszka z Sopotu. **Daria Kaszubowska**

Koncert „Jezus ogarnia”



Publiczność klaskała, śpiewała, powiewała flagami

Gdynia. Najpierw była cisza, głośne bicie serca wprost z głośników i pytanie: „Dla kogo bije twoje serce?”. To wystarczyło, by skupić uwagę publiczności zgromadzonej w kościele pw. św. Mikołaja w Gdyni. Zespół Inspirum zaprezentował wiernym spektakl ewangelizacyjny z pieśniami zupełnie innymi niż te znane z Mszy świętych.

– To i koncert i nie-koncert jednocześnie, bo zależało nam, by zatrzeć się granice między występującymi a publicznością. Wszyscy razem jesteśmy tu po to, by uwielbiać Jezusa – powiedział ks. Andrzej Leszczyński, jeden z opiekunów zespołu i organizatorów imprezy. Cel udało się osiągnąć, bo publiczność wstała z ławek, klaskała i śpiewała wraz z młodymi piosenkarzami. Powiewały czerwone flagi z krzyżem.

Podczas nastrojowych pieśni w oczach widzów pojawiały się łzy. Wzruszyło także opowiadanie jednej z artystek o „małej dziewczynce, która pogubiła się w życiu, nim odnalazł ją Pan Bóg”. Jak się okazało – opowiadała o sobie.

– Ten koncert był mi potrzebny, chyba nie trafiłam tu przypadkowo. Już dawno nie czułam tak wyraźnie, że Jezus jest moim przyjacielem i ogarnia wszystkie moje sprawy, nawet jeśli ja sama się w tym gubię – wyznała 25-letnia Maria Kortas z Gdyni. Jak podkreśla Mariusz Mamulski, jeden z organizatorów, zespół stosuje innowacyjne metody, by dostosować się do dzisiejszego dynamicznego świata. Dzięki temu mogą dotrzeć do szerokiego grona odbiorcy. Przede wszystkim do ludzi młodych.

daka

fotofakty



KS. SŁAWOMIR CZALEJ

OKOLICE KARWI. Zimowe sztormy dają się we znaki. W kilku miejscach pomiędzy Jastrzębią Górą a Karwią fale rozbiły gabiony ze stalowej siatki wypełnione kamieniami. Walka z morzem przypomina walkę z wiatrakami.

Artystyczne ferie w Galerii Miejskiej

GDAŃSK. Malowanie fresków nierzadym Michał Anioł, zabawa w nieme kino, uwiecznienie na obrazach codziennego życia gdańszczan – podczas ferii dzieci miały okazję, by poznać wielką sztukę od kuchni. – Warsztaty miały pobudzać wyobraźnię i wyzwalać kreatywność, a przy okazji w ciekawy sposób zapoznać najmłodszych z historią sztuki – powiedziała Aleksandra Tatarczuk z Gdańskiej Galerii Miejskiej, jeden z organizatorów ferii. Dzieci uczyły się malować freski jak Michał Anioł – leżąc na plecach. Miały do dyspozycji specjalną „pod-stolną kaplicę”, czyli po prostu... stół. Wielką frajdę sprawiły zajęcia z kina niemeego.

Zajęcia były dowodem na to, że można pogodzić naukę z zabawą

Najmłodszy poznali nie tylko technikę powstawania filmu, ale też mogli stworzyć swój własny film na kliszy analogowej! – Ferie były super. Najbardziej podobało mi się kino i oglądanie bajek ze starego rzutnika. I jeszcze to, że robiliśmy malowidła na ścianach, jak w prehistorii – cieszyła się 7-letnia Ania z Gdańska. Zajęcia trwały 2 tygodnie.

daka



Zmiany i nominacje

ARCHIDIECEZJA GDAŃSKA. Ks. Franciszek Czap został wikariuszem w parafii pw. Ducha Świętego i św. Katarzyny w Gdyni-Obłuzu. Ks. Grzegorz Stolczyk został mianowany koordynatorem przygotowań do EURO 2012 w Gdańsku. Nowymi egzorcystami zostali: ks. Jan Kucharski, ks. Jerzy Skiba oraz ks. Andrzej Bemowski (więcej na s. III). Ks. Piotra Daszkiewicza mianowano wikariuszem w parafii pw. św. Maksymiliana Kolbego w Gdańsku-Suchaninie. W miejsce ks. Daszkiewicza wikariuszem w parafii pw. św. Ignacego Loyoli w Gdańsku-Starych Szkotach został ks. Krzysztof Gidziński. Ks. Henryk Mruczkowski został wikariuszem w parafii pw. św. Judy Tadeusza w Gdańsku-Łostowicach. Mamy także dwóch nowych prałatów. Zostali nimi: ks. Stanisław Megier, który jest prałatem penitencjarzem Kapituły Kolegiackiej Gdynskiej, oraz ks. Sławomir Decowski, który został mianowany prałatem kustoszem Kapituły Kolegiackiej Gdynskiej. Przy okazji należy wspomnieć, że ks. Sławomir obchodził 11 lutego jubileusz czterdzięciu swych święceń kapłańskich. Przyjął je 2 lutego 1987 r. w Pelplinie z rąk bp. Mariana Przykuckiego.

WALDEMAR SKOJIMOWSKI/MEDIA TEAM

Przyjdź na mecz!

GDAŃSK. XI Charytatywny Turniej Hokejowy odbędzie w niedzielę 19 lutego o godz. 15 w Hali Olivia. W tym roku grają przedstawiciele mediów, żużlowcy i księża. Bilety do nabycia bezpośrednio przed turniejem. Emocje gwarantowane! Wielu pyta, czy w tym roku, podobnie jak w ubiegłym, też dojdzie do bijatyki księży na tafli...

scz



Centrum Informacyjne
Archidiecezji Gdańskiej:

www.adalbertus.gda.pl

GOŚĆ GDAŃSKI

gdanskgosc@gosc.pl

ADRES REDAKCJI:
ul. bp. E. Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk
TELEFON/FAKS (58) 554 34 15
REDAKCJA: ks. Sławomir Czalej – dyrektor oddziału, Daria Kaszubowska, Agnieszka Skowrońska

Archidiecezja gdańska ma nowych egzorcystów

Lekarstwo na złego ducha

O tym, jak zostaje się egzorcystą oraz czy wzrasta liczba osób zniewolonych i opętanych z ks. Janem Kucharskim rozmawia ks. Sławomir Czalej.



KS. SŁAWOMIR CZALEJ

Ks. SŁAWOMIR CZALEJ: Mówi się, że na kursach organizowanych przez gdańską Szkołę Nowej Ewangelizacji dużo jest Pana Boga, ale i całkiem sporo diabła. Ks. JAN KUCHARSKI: – To prawda. Niestety, na wspomnianych kursach osób opętanych bywało całkiem sporo. Manifestacje obecności złego ducha następowały zwłaszcza podczas Mszy św. z modlitwą o uwolnienie. A te odprawiamy już pewnie od dziesięciu lat.

Od kiedy zacząłeś myśleć, żeby wspomóc działania naszych egzorcystów: ks. Andrzeja Kowalczyka i ks. Marka Czyżewskiego?

– Bliżej zacząłem interesować się tą posługą od zeszłego roku. Latem uczestniczyłem w rekolekcjach, które prowadził o. Rufus Pereira, znany egzorcysta hinduski z Bombaju. Wspomagałem go zresztą w egzorcyzmach przez cały tydzień, bo zatrzymał się u nas na plebanii. Po ostatnich wakacjach, w naszej parafii egzorcyci przyjmują już regularnie. Bywało, że prosili czasem do pomocy nawet kilku księży.

Chodzi o pomoc w modlitwie?

– Nie tylko. Czasami trzeba pomóc wynieść z samochodu osobę, która krzyczy i zapiera się... Pamiętam dziewczynę, która dostała niesamowitej siły i słyszała ją chyba pół Chyloni. Oczywiście w takich sytuacjach zawsze są rodzice czy najbliżsi.

Nowi egzorcyci... Czyżby zła, które zadomawia się w człowieku, było coraz więcej?

– Myślę, że oczywiście liczba opętanych i zniewolonych wzrasta, jednak większa jest też sama świadomość problemu. Patrząc chociażby na ostatnie pół roku, kiedy egzorcyci zaczęli przyjmować u nas w parafii, widać, że liczba osób korzystających z ich pomocy wzrosła lawinowo. Kiedy wchodzi się na korytarz w poniedziałek wieczorem, to człowiek czuje się wręcz jak w przychodni u lekarza. Do tej pory ks. Kowalczyk i ks. Czyżewski, którzy przyjmowali w dwóch salach, kończyli nawet o pierwszej w nocy.

Od rana?!

– Nie, od osiemnastej. W każdy poniedziałek.

Każdy może tu przyjść?

Jeśli potrzebujesz pomocy

Zapisy do egzorcystów prowadzi Diecezjalna Poradnia Rodzinna, plac Biskupa Edmunda Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk (tuż obok redakcji „Gościa Niedzielnego”). Poradnia jest czynna od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–14.00. Tel. 58 552 18 81. Więcej informacji na www.poradnictwo.gda.pl.

– Zapisy prowadzi nasza Diecezjalna Poradnia Rodzinna w Gdańsku-Oliwie. Można oczywiście poprosić o pomoc kapłana ze swojej parafii. Wcześniej egzorcyzmy były prowadzone w Oliwie. W tej chwili byłoby to niemożliwe logistycznie. W parafii jest zdecydowanie więcej miejsca.

Skąd przybywają ludzie?

– Z całej archidiecezji. Od Władysława po Pszczółki.

W jakim wieku?

– Są oczywiście osoby starsze i w średnim wieku. Często od-

zywają się zadawnione sprawy z przeszłości. Jednak przypadki najtrudniejsze to ludzie młodzi, między piętnastym a trzydziestym rokiem życia. Najgorzej, kiedy otarli się w życiu o satanizm. Nie bez znaczenia jest już samo słuchanie muzyki różnych satanistycznych zespołów. W piosenkach są, niestety, treści antychrześcijańskie. Stają się one poniekąd zaproszeniem, więc młody człowiek zaczyna się interesować, wchodzić w głąb i gubi się.

Jesteś kapłanem już 18 lat. Bycie egzorcystą to pewnie także kapłańska dojrzałość?

– Z perspektywy czasu widzę, że Pan Bóg mnie zaskakuje różnymi decyzjami w życiu. Ileś lat wstecz w ogóle bym o tym nie pomyślał. Ale ileś lat temu nie przypuszczałem, że tak mocno zaangażuję się w ewangelizację, a tuż po święceniach takie wspólnoty były mi w ogóle obce. Myślę, że ważnym momentem w moim życiu, który zdecydował, że jestem tu, gdzie jestem, był Przystanek Jezus, organizowany w diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Jeżdżę tam od kilku lat i różne rzeczy tam się dzieją...

Sam zgłosiłeś swoją chęć zostania egzorcystą?

– Propozycja wyszła od ks. Andrzeja Kowalczyka. Powiedział mi, że potrzeba więcej kapłanów do pełnienia tej posługi. Ludzie wymieniają informacje o naszej posłudze między sobą, rozmawiają o tym. Co ważne, przestają też się wstydzić i bać. W końcu po co tkwić w czymś, co nie pozwala nam normalnie żyć, zamiast po prostu się wyzwolić.

Będziesz posługiwał na miejscu?

– Jak najbardziej, i w łączności z ks. Kowalczykiem. Na pewno jego doświadczenie będzie mi potrzebne. ■

Oprócz ks. Jana Kucharskiego, który pracuje w parafii św. Mikołaja w Gdyni-Chyloni, nowymi egzorcystami w naszej archidiecezji zostali ustanowieni także ks. Andrzej Bemowski, proboszcz parafii św. Tereski od Dzieciątka Jezus w Gdańsku, oraz ks. Jerzy Skiba z parafii św. Jadwigi Śląskiej w Gdańsku-Nowym Porcie.



Gdańskie mieszkanie Krystyny i Klemensa Friedłów jest jak żywe muzeum dziejów Polski

SPÓŁCZEŃSTWO.

– Poszukiwania genealogiczne to nie tylko przeglądanie dokumentów czy przesiadywanie w archiwum. Aby poznać historię własnej rodziny, trzeba poznać historię Polski oraz konkretnych jej regionów. **Wtedy zrozumiemy zachowanie naszych przodków** – wyjaśnia Anna Krzyżankowska-Glińska, członkini Pomorskiego Towarzystwa Genealogicznego.

tekst i zdjęcia

AGNIESZKA SKOWROŃSKA

agnieszka.skowronska@gosc.pl

Odkrywcy własnych korzeni

Zimowa aura nie zachęca do dalekich wypraw. Chyba że tych z palcem na pilocie lub na myszce. Tymczasem warto w długie, mroźne wieczory poszperać w domowych archiwach, otworzyć albumy ze starymi zdjęciami i wybrać się w podróż do przeszłości. Może się ona okazać bardziej fascynująca niż niejeden film przygodowy, bo... prawdziwa.

Przy ognisku o drzewach (genealogicznych)

W 2004 roku kilkanaście osób z internetowej grupy dyskusyjnej, zafascynowanych poszuki-

waniem rodzinnych korzeni, wpadło na pomysł osobistego spotkania na Kaszubach. Umówili się na spływ kajakowy. On dał impuls do utworzenia Pomorskiego Towarzystwa Genealogicznego. Zostało ono wpisane do ewidencji Urzędu Miasta Gdyni 7 lipca 2005 roku i zaczęło prężnie działać. Zaś organizowanie spływów kajakowych stało się swoistą tradycją. – Coraz bardziej czuliśmy się jak jedna rodzina, w której można było godzinami rozmawiać o swoich przodkach, choćby przy ognisku – uśmiecha się pani Ania.

Obecnie głównym zadaniem PTG jest digitalizacja archiwów, to znaczy tworzenie cyfrowej

wersji zgromadzonych w nich dokumentów, a także gromadzenie indeksów zabytkowych cmentarzy. Pomorscy genealodzy – oprócz swoich comiesięcznych spotkań – organizują też prelekcje w szkołach, bibliotekach czy na Uniwersytetach Trzeciego Wieku, zachęcając do interesowania się dziejami rodzinnymi.

Impuls z czarno-białej fotografii

– Natrafiłem na zdjęcie z Pierwszej Komunii św. mojego taty. Wtedy postanowiłem popytać w rodzinie o stare fotografie. Tak się zaczęła moja pasja. Efektem poszukiwań jest drzewo genealogiczne, liczące obecnie prawie 1000 osób! W rodzinie żony dotarliśmy 100 lat wstecz, zaś w mojej rodzinie jeszcze dalej, bo aż do roku 1750 – uśmiecha się Janusz Wicki. Jak przynajmniej, początki odtwarzania rodzinnej historii nie były łatwe. Korzystanie z popularnych przeglądarek internetowych przynosiło mizerne rezultaty. Wykorzystanie źródeł ustnych też nastęrczało niekiedy trudności. Tak jak wtedy, kiedy poszukiwał informacji dotyczących babci jego ojca, pochodzącej z miejscowości Piekielek (między Rumią a Kamieniem). Zaglądał do archiwów parafialnych w Rumi, Kielnie, Redzie. – Tymczasem okazało się, że chodziło nie o babcię, a o prababcię mojego taty, który, pokazując mi tamte okolice, dodawał: „A tu mieszkała babcia”. I to mnie zmyliło – tłumaczy pan Janusz.

Czy początkujący badacz dziejów rodzinnych musi zmagać się sam z podobnymi trudnościami? – W Pomorskim Towarzystwie Genealogicznym możemy, zapoznając się ze szczegółami na temat danej rodziny, pokierować, jak i gdzie szukać informacji na jej temat. Po 2–3 miesiącach zazwyczaj dana osoba wie już tyle, że sama sobie radzi – opowiada Anna Krzyżankowska-Glińska.

Pan Janusz jednak zdecydował się na samodzielne poszukiwania. One przyniosły mu najwięcej satysfakcji. Zwłaszcza gdy udaje się rozwikłać skomplikowane zagadki i to z czasów wojny. Spisując w archiwum parafialnym w Przdokowie wszystkich Wickich z początku XX wieku, natknął się na syna Franciszki i Franciszka o imieniu Władysław. Przypomniał sobie opowiadania swojego taty, że babcia opłakiwała zaginionego syna Władysława w pierwszych latach po wojnie. Myślała, że może jest w jakichś łagrach, i że wróci. Zaczął więc go szukać. Wysłał pisma do archiwum Wojska Polskiego i do Czerwonego Krzyża. Odpowiedzieli, że nie posiadają informacji o takiej osobie. Pan Janusz szukał dalej. – Dowiedziałem, że było trzech braci. Walczyli w jednej kompanii tego samego pułku, ale prawdopodobnie nie w jednym plutonie. W 1939 roku jeden z nich zginął, jeden dostał się do niewoli i całą wojnę prze-

żył pod Stargardem Szczecińskim, gdzie poznał dziewczynę, ożenił się i tam pozostał. I był trzeci z braci, który mieszkał w Redzie – opowiada pan Janusz. Okazało się, że siostra poszukiwanego Władysława mieszkała w Rumi. Pod wieczór 12 września 1939, kiedy front się cofał, Władysław pojawił się w domu siostry, która zaproponowała mu, żeby zdezerterował. Odmówił. I słuch po nim zaginął. Niedawno jednak na stronie Urzędu Miasta w Gdyni pojawił się spis ofiar drugiej wojny światowej. W nim umieszczony jest Witzki Władysław, który zginął we wrześniu 1939. Nie wiadomo jednak, gdzie jest pochowany – zamyśla się pan Janusz.

Rodzinna historia to jednak nie tylko przeszłość, ale i terażniejszość. Dlatego pan Janusz organizuje zjazdy rodzinne, które odbywają się co kilka lat w Pomieczyźnie. Wtedy jest okazja do wspólnej modlitwy, rozmów, wspomnień. Zanim zatrze się pamięć, a ludzie odejdą z tego świata. – Kaszubska tradycja mówi, że jak ktoś umrze, to aby nic się nie poniewierało, trzeba to spalić. Dlatego tak mało dokumentów się zachowało. Chcę ocalić to, co się jeszcze da – dodaje nieustrudzony odkrywca rodzinnych tajemnic.

Płyta piłśniowa i bursztynowy różaniec

– Moje dzieciństwo rozpoczęło się w momencie, kiedy ktoś łomotał do drzwi. To przyszło gestapo, aby nas zabrać. Zostaliśmy wywiezieni do obozu pracy, rozdzieleni z ojcem. Zaczął się strach przed śmiercią. Liczyło się tylko to, by przeżyć. Potem był front. Obóz pod Nidzicą, z którego uciekliśmy i doszliśmy do Kiełpina. Potem do Torunia, gdzie był punkt zborny. Stamtąd mieliśmy zaś wracać do Wilna – wspomina Krystyna Friedłowa. Choć mieszka wraz z mężem w Gdańsku, jednak jej korzenie sięgają właśnie za obecną wschodnią granicę Polski. Dziadek jej babki i jego dwaj synowie byli bardzo zaangażowani w powstanie styczni-

we. Po jego upadku jeden z synów syna wraz z dziadkiem zastrzelili się. Drugiego syna carscy żołnierze powiesili na rynku w Wilnie. Dwór szlachecki w Niewardowie, w którym mieszkała, został spalony. A babcię z dwiema córkami wywieziono kibitką. One jednak z niej uciekły, ale musiały się ukrywać, cierpiąc straszny głód. – Kiedy wróciły na ojcowiznę, chłopcy zaprowadzili je na pole i tam odkopali to, co udało im się uratować z płonącego dworu. Niewiele tego było, jakaś biżuteria, trochę sreber. Dzięki temu babcia mogła wybudować dom w Wilnie. Jesteśmy rodziną, która wciąż rozpoczyna wszystko od nowa. Od zera – mówi pani Krystyna.

Właśnie od zera rozpoczęli swoje życie w Toruniu, gdy zdecydowali, że nie będą wracać na Litwę. Ich pierwszą samodzielną przystanią stało się mieszkanie opuszczone przez repatriantów. – Pozostawili tam tylko miękką płytę piłśniową. To był nasz cały pierwszy dobytek. Ta płyta pozostała w rodzinie jako podstawa naszego bytu i szczególna pamiątka – wspomina ze wzruszeniem.

Ojciec dołączył do rodziny w 1951 roku. Znalazł ich dzięki PCK i...listom, pełnym ciepła i tęsknoty, które codziennie pisali na Syberię. W 1957 dołączyła do nich babcia. I właśnie po babci pani Krystynie pozostały pamiątki, które traktuje jak relikwie: książeczka do nabożeństwa z roku 1856, maszyna do szycia z pedałem nożnym oraz przepiękny bursztynowy różaniec. – Był bardzo zniszczony, bo babcia go codziennie odmawiała. Miał porwany łańcuszek. Scaliłam go i modłę się na nim tylko raz na tydzień: w niedzielę. Oszczędzam go. Tyle nam zostało. Tak mało i tak wiele zarazem – mówi pani Krystyna.

Zanim drzewo urośnie

Póki żyją świadkowie minionych czasów, warto spróbować odtworzyć rodzinne dzieje. Jak się do tego zabrać praktycznie? – Najpierw zapisujemy to, co wiemy o sobie: imię nazwisko, data urodzenia, chrzest, ślub, imiona i nazwiska chrzestnych, imiona dzieci – choć wszystko to wydaje się oczywiste. Następne będą wiadomości o rodzicach, rodzeństwie, dziadkach. Brakujących informacji szukamy w rozmowach z rodziną, zwłaszcza z seniorami. Oprócz notatek warto robić schemat powiązań rodzinnych, nawet najprostsz. Szczególną uwagę zwracamy na takie dokumenty, jak akty urodzenia, małżeństwa czy zgonu. Część osób ma w domu metryki chrztu, świadectwa szkolne, legitymacje, karty potwierdzające zameldowanie, książeczki wojskowe, dowody opłat. One wszystkie są bardzo cenne – odpowiada pani Ania z Pomorskiego Towarzystwa Genealogicznego. ■

Z tułaczki wojennej pozostały nierzliczne pamiątki: odręcznie pisana metryka i bursztynowy różaniec



Rok duszpasterski made in Bosco

Kochać kościół od małego

– Choć mamy sporo pracy, siostra zmusza nas do tego, żeby zasiać z dziećmi. Muszę powiedzieć, że **cała rodzina na tym zyskała** – mówi Agata Zorn z Rumi, mama Grzesia i Kasi.

Pięcioletni Grześ poszedł do przedszkola śladem swojej starszej siostry, która uczy się już w drugiej klasie szkoły podstawowej. Kiedy jednak maluch zapowiedział, że będzie budować kościółek, Kasia szybko zapomniała o swoim „poważnym wieku”. W końcu salezjańskie zabawy nie są obciachowe, nawet jeśli ma się lat 40. Mało tego. Wciągają...

Model drewniany, model duchowy

Zanim dzieci zaczęły budować (dobrowolnie!) model kościoła, rodzice dostawali fragment Pisma Świętego do przeczytania i omówienia w domu. Karteczkę ze świętą sentencją można było otrzymać po krótkiej modlitwie w kaplicy. Jest to centralne miejsce, tuż obok sali gimnastycznej, z której korzystają przedszkolaki i uczniowie podstawówki. Dzieci uczą się bowiem pod jednym dachem, a drogę do kaplicy wyznacza międzynarodowy znak,

czyli... małe stópki przyklejone do podłogi.

– Pomysły mamy różne. W zeszłym roku były to anioły, a na Wielkanoc robiliśmy jajka z balonów – mówi nieco tajemniczo dyrektor przedszkola s. Anna Pytka, salezjanka. W tym roku pomysł zrodził się pod wpływem hasła roku duszpasterskiego: „Kościół naszym domem”, ale i z pewnego doświadczenia. – Razem z siostrą Anną myślałyśmy, gdzie te dzieci mają się nauczyć o kościele. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy rodzice są zaganiani i na nic nie mają czasu – dopowiada Anna Bialik, wicedyrektor.

Karteczki z sentencjami były cegiełkami, które dzieci umieszczały na swoich modelach. Fragment z Ewangelii św. Mateusza, żeby dom budować na skale, a nie na piasku, nie nastroczał rodzicom trudności przy rozmowie. Ale były też cegiełki trudniejsze. No bo jak maluchowi wyjaśnić krótkie zawołanie z Ewangelii Markowej: „Czuwajcie!”. – Trzeba to było przemyśleć samemu. Przy czymś takim formuje się wiarę nie tylko dzieci, ale i rodziców – zamyśla się mama maluchów.

Ukorzenie dzieci

Salezjańskie szkoły w Rumi mają już swoją renomę. Jak mawiają w mieście, dostać się tu też nie jest łatwo. Niby takie same, jak placówki świeckie, a różni je wszystko. Nie żeby ktoś chciał tu kogoś do czegoś zmuszać, chociaż modlitwa w kaplicy jest obowiązkowa. – Mnie bardzo zależało.



– Ksiądz z „Gościa” chciał zobaczyć nasz kościół? O, tak wygląda...



Katarzyna Leszczyńska i jej trzech „archaniołów”

Widać przecież, w jakim kierunku idzie świat, a ja chciałabym, żeby dzieci miały korzenie – mówi pani Agata.

Zdarza się jednak i tak, że posyłane są tu dzieci, których rodzice raczej się Panu Bogu nie naprzykrzają. – To widać podczas katechety. Takie dziecko nie ma pojęcia, o czym się mówi – wyjaśnia siostra.

Zbudowane przez dzieci – czytają: rodziny – modele są imponujące. – My przynieśliśmy tylko zdjęcie, bo kościół z klocków zbudowaliśmy w domu – cieszy się Katarzyna Leszczyńska, mama trzech „archaniołów”: Michała (6 lat), Rafała (3 lata) i rocznego Gabriela. Klocki były drewniane, ale figurki w środku pochodziły już ze skarbów maluchów. Od tych z klocków Lego, po postaci rodem z kinder-niespodzianek. – Podczas rozstrzygnięcia konkursu, wszystkie dzieci zajęły pierwsze miejsce – śmieje się A. Bialik. Na 110 maluchów powstało 66 prac, a wykonali je członkowie około 90 rodzin. Czyli większość.

– O, ten właśnie kościół zrobiła rodzina, która... hmm, no nie angażuje się za bardzo w życie Kościoła. Sama mama się zapaliła i zrobili piękny model w kształcie... swojego domu – zamyśla się s. Anna.

Co dalej z modelami? Tu opinie są podzielone. Były pomysły, żeby dzieci zabrały je do domu, ale rodzice zastanawiali się, czy nie warto by zrobić wystawy w kościele. Albo obdarować te parafie, których modele wykonano. Łatwo się domyślić, że większość została w Rumi, a jeden dałoby się nawet łatwo rozpoznać: kościół Podwyższenia Krzyża Świętego. – Jest dla nas tajemnicą, ile z tego wszystkiego pozostało w samych dzieciach – mówi Iwona Gawryś, wychowawca.

Dzieci podchodzą do swoich budowli, żeby pokazać je księdzu z gazety. Za chwilę śpiewają: „Kościół to nie tylko dom z kamieni i złota...”. Śpiewają... delikatnie. Aż figurki w modelach się przewracają.

Ks. Sławomir Czalej

■ R E K L A M A ■

DOM POGRZEBOWY
"ANUBIS"

KOMPLEKSOWE USŁUGI POGRZEBOWE
CZYNNIE CAŁĄ DOBĄ

Gizela Zdyń ul. Abrahama 27 Sopot
tel./fax: 555-07-31 tel.kom. 0504 775 205

– Nasz syn
nie może się ruszyć,
ale wszystko rozumie.
**Nie narzekamy,
bo inni mają gorzej**
– mówi Eugeniusz
Biedka z Gdańska.

Niewielkie mieszkanie w Gdańsku-Zaspie. Choć blisko stąd do głównej ulicy i torów tramwajowych, w pokojach jest cicho, bo okna z jednej i z drugiej strony wychodzą na park. Na łóżku w pokoju dziennym leży szczupły mężczyzna, 36-letni Robert Biedka. Nie może mówić, usiąść na łóżku, a nawet poruszyć się na nim. W prawej dłoni trzyma drewniany młoteczek, w lewej przykurcz palców jest tak mocny, że nie uchwyciłby niczego.

– Skleciłem synowi ten młoteczek, by trzymając go, usprawniał chwyt – mówi ojciec Roberta, 70-letni Eugeniusz Biedka. – Przez wiele lat miał drewnianą zabawkę, taką odpustową, na patyku. Żona kupiła ją na odpuscie w Świętej Lipce. Robert był wtedy jeszcze taki mały, że mieścił się w wózek. Ale miał tę zabawkę tak długo, że się zupełnie zniszczyła – opowiada pan Eugeniusz.

Robert od urodzenia choruje na porażenie mózgowie. Prawdopodobnie zawinił lekarze odbierający poród. Poród trwał zbyt długo, doszło do niedotlenienia mózgu. Taka sama sytuacja powtórzyła się dwa lata później, gdy Irena Biedka, mama Roberta, rodziła córkę. Wtedy udało się ubłagać lekarzy, by przyspieszyli poród. Być może dzięki temu córka państwa Biedków jest dziś zdrowa, ma synka. Irena i Eugeniusz Biedkowie z dumą pokazują zdjęcia z wnukiem. Robert także się uśmiecha i choć nie potrafi mówić, z tego uśmiechu można wyczytać naprawdę wiele.

– Mamy działkę letniskową niedaleko córki i co roku jeździmy tam z Robertem na wakacje. Kiedyś często uczestniczyliśmy w rekolekcjach i spotkaniach stowarzyszenia dla ludzi chorych Centrum Ochotników Ciępienia Archidiecezji Gdańskiej. Przecież Robert musi też zobaczyć coś nowego. Ile można tak leżeć bez



Irena i Eugeniusz Biedkowie z synem PONIŻEJ: Mimo mrozów pani Irena rozdaje ulotki na ulicach. Prosi gdańszczan o wsparcie dla Roberta

36-letni Robert od urodzenia cierpi na porażenie mózgowie

Młoteczek dla syna



ruchu, prawda? – pyta retorycznie pan Eugeniusz. – Ale wyjeżdżamy coraz rzadziej, bo musimy Roberta przenosić na łóżku, a ja jestem coraz starszy i słabszy. Na szczęście z Komunią Świętą przychodzi do syna zaprzyjaźniony ksiądz.

Biedkowie nie utyskują na swój los, nie zrzedzą. Nawet, gdy wymknie się słowo skargi, zaraz dodają, że „nie ma co narzekać, bo inni mają gorzej”. A przecież i pani Irena, matka Roberta, choruje. Mimo osobistych problemów rodzice stale muszą być w pogotowiu, bo Roberta trzeba nakarmić, przebrać, pomóc mu zmienić pozycję z leżącą na boczną.

– To, że syn stale leży, powoduje u niego bolesne przykurcze rąk i nóg oraz deformację klatki piersiowej i kręgosłupa. Rehabilitacja domo-

wa sprawia, że ból nieco ustępuje, poprawia też stan zdrowia syna. Najlepiej, gdyby odbywała się codziennie, ale nas na to nie stać – mówi Irena Biedka.

Godzina rehabilitacji kosztuje 50 zł. To niebagatelna suma dla dwójki emerytów, zwłaszcza, że same opłaty za mieszkanie pochłaniają 700 zł. A trzeba jeszcze opłacić rachunki, kupić kremy i maści na odleżyny dla Roberta. Potrzebne są też lekarstwa: na astmę, żółtaczkę typu C, problemy z sercem i krążeniem. Przy takim stanie zdrowia Robert nie może jeść wszystkiego, a specjalna dieta jest kosztowna.

Państwo Biedkowie roznoszą po Gdańsku ulotki z prośbą o przekazywanie jednego procentu podatku na ich syna. W ostatnich dniach, mimo 20-stopniowych mrozów, pani Irena przez kilka godzin dziennie rozdawała ulotki. Do domu wracała przemarznięta. Ale zamiast przytulić się do kaloryfera czy biec do kuchni po gorącą herbatę, najpierw witała się z synem i poprawiała mu poduszki.

– Niczego nie chcemy dla siebie, chcemy pomóc synowi. Gdyby codziennie miał rehabilitację... – zamysla się pan Eugeniusz.

Pomoc dla Roberta Biedki

Można dokonać wpłaty na konto Fundacji Dzieciom „Zdążyć z pomocą”: 41 1240 1037 1111 0010 1321 9362 z dopiskiem: darowizna na leczenie i rehabilitację Jana Roberta Biedki nr członkowski 6521 lub przekazać 1 proc. na tę fundację: KRS 0000037904 z tym samym dopiskiem.

Daria Kaszubowska



ZDJEŃCIA KS. SŁAWOMIR CZAJEJ

Państwo Borscy z sentymentem wspominają czasy, kiedy z Chłapowa na połowy wypływało aż 18 łodzi
PO PRAWIE: Mury już stoją. Teraz pora zbiórki pieniędzy na dach

– Łódka miała już przegnite deski i gdy silnik wszedł na wysokie obroty, w pewnym momencie poszedł na dno.

Brat siedział przez całą noc w morzu i tylko odmawiał „Pod Twoją obronę”

– mówi Brunon Borski, mieszkaniec Chłapowa.

Parafia w Chłapowie jest jedną z najmłodszych w naszej archidiecezji. Stanowi od zachodu pierwszą parafię dekanatu morskiego, kończącego się dopiero w Helu. Ludzie z rybaczenia przerzucili się tu na przyjmowanie turystów. Miejscowość zimą zamiera, ale od wiosny do późnej jesieni przybývają tu odpocząć ludzie z całej Polski.

Flądry z wiklinowych koszy

Turyści przyjeżdżali do Chłapowa właściwie od zawsze. W latach 70. ub. wieku Brunon i Urszula Borscy prowadzili tu małą smażalnię ryb. – Nawet wody wtedy nie było. Ludzie myli się w miskach przy pompie – wspominają. Wodę do picia trzeba było wozić beczkowozem. Ryby Brunon przynosił bezpośrednio od rybaków. Ale w tamtych czasach było aż 18 rybackich łodzi! Dzisiaj została ostatnia, należąca do Jana Goykego, bo nikt z młodych

Parafia Miłosierdzia Bożego w Chłapowie

Figura z beczki

w morze już tu wypływać nie chce. – Od rybaków brałem głównie flądry. Jeszcze żyły, jak je do domu przynosiłem. Rybacy nauczyli mnie też... chodzić – wspomina z uśmiechem. Bo na początku Brunon robił susy, jakby ktoś go gonił. A krok rybacki jest inny: spokojny, krótki, wręcz odmierzony jak bałtycka fala. Co piąta jest większa i w czasach, kiedy nie było silników, to na tej fali, przy pomocy wiosł, łódź pokonywała miliznę, płynąc na połów.

A historia z bratem... – Jak silnik wpadł do morza, to łódź natychmiast nabrała wody. Grzegorz wpadł do niej razem z szyprem – milknie Brunon. Szyper postanowił dopłynąć do brzegu i sprowadzić pomoc. Jakieś dziesięć kilometrów, może trochę mniej. Nie dał rady... Grzegorz pływać nie potrafił, ale miał koło ratunkowe i... wiarę. Był blisko toru wodnego, którym kutry wychodziły na połów z Władysławowa. „O Pani nasza, Oredowniczo nasza...” – i tak w kółko. Był już blisko dna i hipotermii, bo wypadek zdarzył się jesienią. W wodzie tkwił przez całą noc. O świcie zauważył go ostatni idący kuter.

Parafia

Chłapowo od zawsze było częścią parafii chrystusowców w odległym o dwa kilometry Władysławowie. – Kiedy tu przyszedłem, były tylko same łąki i widok na morze

– wspomina ks. Wiesław Wett, drugi proboszcz. W 1993 r. na kaplicę została zaadaptowana stara stolarnia. Sama budowa ruszyła w 2003 r. Mury i spora część wieży z trzema oknami już stoją. – W tej chwili zbieramy pieniądze na dach – mówi duszpasterz. Konstrukcją będzie przypominał nieco dach w kościele w Ostrowie. A więc klejone drewno, niczym wręgi, przepiękne, tylko... musi się znaleźć „drobne” 600 tys. zł. Ale znajdzie się. Chociaż kościół przywołuje Boże Miłosierdzie, to jednak silnie czci się tutaj także św. Barbarę, patronkę rybaków, ludzi ciężkiej pracy i Chłapowa. – Figura świętej w kaplicy została w czasie wojny ukryta w beczce. Ocalała – cieszy się proboszcz. Tuż obok świętej klęcznik, gdzie można pomodlić się za przyczyną Jana Pawła II, promotora Bożego Miłosierdzia. Są relikwie jego i św. Faustyny.

– Barbara to bardzo popularne u nas imię – uśmiecha się Barbara Michalak, parafianka. Patronka chyba ją natchnęła, bo razem z koleżanką w ubiegłym roku w jej święto założyły klub amazońki we Władysławowie. W tym roku chcą go zarejestrować. – We Władysławowie już dołączyło do nas sześć nowych kobiet – mówi. Jeszcze do niedawna Basia Michalak była najmłodszą amazonką. Teraz jest jeszcze młodsza. Ma 37 lat i trzyletnie dziecko.



Trzy okna w budującym się kościele, zaprojektowanym praktycznie za darmo przez architekta Wiesława Szyślaka, symbolizują wiarę, nadzieję i miłość. Te przydają się nie tylko amazonkom. Co ciekawe, W. Szyślak był współtwórcą pomnika poległych stoczniovców, słynnych „Trzech krzyży”.

Latem Chłapowo zmienia się w prawdziwe eldorado. – Raz na Boże Ciało jeden redemptorysta sam przywoził tu pięć autokarów dzieci i młodzieży. Ileż tu przyjeżdża kapłanów z całej Polski z zaniedbaną młodzieżą, ale o tym się nie mówi. W mediach liczą się tylko sensacje – podkreśla refleksyjnie ks. Wett. Zaniedbana dziatwa przychodzi też na plebanię do świetlicy, gdzie czeka nauczycielka. Dzieci pochodzą przeważnie z Cetniewa, miejscowości znanej głównie z ośrodka olimpijskiego i z afery, której ponoć nie było, kiedy prezydent Kwaśniewski spotkał się z agentem Ałganowem. – Tymczasem Cetniewo to dawny PGR. Dzieci zaniedbane, i co gorsza, nie mające żadnych zainteresowań. Opuszczone w wychowaniu i nauce – stwierdza smutno proboszcz. Dzieci potrafią przyjsć po szkole i czekać tu nawet godzinę, bo nie chce im się wracać do domu. A świetlicę otwiera się o czternastej.

Wchodząc do kaplicy, warto zwrócić uwagę na mały feretron. Na wzburzonym morzu łódź. Rybak wyrzeźbiony w drewnie wydaje się jednak spokojny. Wszak na żaglu jest sama Matka Boża. Dobrze przypomnieć sobie „Pod Twoją obronę”...

Ks. Sławomir Czajej